

Obywatel świata z L.Stadt

- Dwadzieścia lat temu udało mi się zagrać dla Boba Dylana w jego garderobie podczas krakowskiego koncertu. Gdy skończyłem, powiedział: „Good job”. Wziąłem to sobie do serca i tak w tym trwam – mówi ŁUKASZ LACH, lider łódzkiego zespołu L.Stadt.

Bogdan Sobieszek: - Właśnie wyszliście ze studia - powstaje nowa płyta?

Łukasz Lach: - Przez osiem dni nagrywaliśmy partie instrumentów akustycznych do trzynastu piosenek. Jeszcze dużo pracy przed nami, dlatego trudno powiedzieć, kiedy wyjdzie płyta. Jestem jednak bardzo szczęśliwy, bo kolejny nasz autorski projekt nabiera realnego kształtu.

Wasz poprzedni album „You Gotta Move”, który ukazał się w ubiegłym roku, zawiera utwory kompozytorów amerykańskich. Ta muzyka jest raczej mało znana w Polsce.

- Nagraliśmy siedem oryginalnych teksańskich piosenek. Townes Van Zandt, Lee Hazlewood, Jim Sullivan to są duże nazwiska w Stanach i jeśli mogliśmy komuś przybliżyć twórczość tych artystów, to dobrze się stało. To są przede wszystkim piękne piosenki, które zawsze chciałem zaśpiewać i wyłącznie tym kierowałem się, wybierając materiał na płytę. Później okazało się, że i teksty układają się w całość – opowieść o outsiderach, o ludziach samotnych, odrzuconych, poszukujących sensu.

Nazwa zespołu wskazuje, że utożsamiacie się z Łodzią i jej historią, ale dziś wydaje się, że Teksas stał się waszym drugim domem.

- Pierwszy raz wyruszyliśmy za Ocean w 2010 roku, żeby wystąpić na festiwalu South by Southwest w Austin w Teksasie. Dla nas wszystkich była to pierwsza taka podróż – jakbyśmy znaleźli się w scenografii podświadomego filmu, który zakodowała nam popkultura. Zetknęliśmy się tam z niesamowicie utalentowanymi ludźmi i naturalną dla nich muzyką, którą w Austin spotyka się na każdym kroku. Prawdziwe amerykańskie brzmienie niemal czuło się w powietrzu. To rzeczywiście nasz drugi dom – zawsze możemy tam wrócić. Mamy się gdzie zatrzymać, mamy przyjaciół.

Stany to ziemia obiecana muzyków z całego świata. Udało się wam tam zaistnieć?

- Festiwal South by Southwest pomyślany był kiedyś jako konferencja dla ludzi z branży muzycznej – agentów, producentów, którzy poszukiwali „świeżej krwi”. Dlatego dla nowych kapel była to szansa na zaistnienie na rynku. Dziś festiwal zamienił się w molocho. Zagrać tu mogą praktycznie wszyscy, którzy się zgłoszą – przez cztery dni przewija się dwa tysiące kapel – ale branża już nie przychodzi na koncerty. Trudno więc powiedzieć, że zostaliśmy zauważeni przez producentów, ale publiczności teksańskiej nasze granie bardzo odpowiadało. Zawsze nam się wydawało, że L.Stadt brzmi po amerykańsku, a w Austin usłyszeliśmy, że jesteśmy strasznie europejscy.

Jak ten pobyt za Oceanem was zmienił?

- Poczuliśmy się obywatelami świata i zobaczyliśmy, że nasza muzyka jest uniwersalna, że trafia do wrażliwości ludzi stamtąd i wzbudza ich emocje. Ale na ten nasz muzyczny kosmopolityzm zapracowaliśmy już wcześniej. Zagraliśmy sporo koncertów w Rosji, na Bałkanach, w Niemczech i we Francji. Jednak pierwszy wyjazd do Stanów był wyjątkowy. Od tej pory zawsze wracamy stamtąd naładowani energią, by działać dalej.

Jaka jest pozycja L.Stadt na polskiej scenie muzycznej?

- Jesteśmy coraz lepiej kojarzeni. Nasze płyty mają doskonałe recenzje. Niestety nie przekłada się to na sprzedaż. To ciągła praca, walka, by wyrobić sobie markę, by być rozpoznawalnym. Naszym głównym celem, jak chyba każdego zespołu, zawsze było to, by dotrzeć do jak największej liczby ludzi. Ci, którzy mieli okazję usłyszeć L.Stadt, w większości zostają z nami. Przyjemnie jest widzieć, jak przybywa fanów. Gdy przyjeżdżamy kolejny raz do tego samego miasta, zapełniamy coraz większe sale. Teraz gramy mniej koncertów, bo skupiliśmy się na przygotowaniu nowej płyty. Przecież sporo czasu upłynęło od poprzedniego naszego materiału autorskiego - „El.P” ukazał się w grudniu 2010 roku.

Co zatem jest waszym znakiem rozpoznawczym?

- Nasze płyty są eklektyczne, a przekaz na nich - wysublimowany, za to na koncertach przemawiamy pierwotną, dziką energią. Lubimy grać ze sobą i myślę, że publiczność to czuje. Między zespołem a widownią dochodzi do energetycznej wymiany. Zdarzają się występy, które są wręcz magiczne i dla nas, i dla słuchaczy.

Nietypowy skład daje wam dodatkowe możliwości?

- Dwa zestawy perkusyjne, które podczas koncertów bardzo często dublują podstawowy rytm, powodują, że muzykę czuje się w trzewiach. Ale wracając do naszej nowej płyty, już wiem, że ona będzie inna od tego, co do tej pory zrobiliśmy. Po L.Stadt można się spodziewać wszystkiego. I to jest znak rozpoznawczy naszego zespołu.

Na pierwszej płycie wydanej w 2008 roku dużo było dźwiękowego brudu, przesterowany chrypiący wokół, to zaskakiwało...

- Wtedy traktowałem głos jako kolejny instrument, nie chciałem, żeby się wybijał. Potem moje podejście się zmieniło. Nagrywaliśmy tę pierwszą płytę w warunkach garażowych i widzieliśmy, że nie możemy pozwolić sobie na piękną, wysmakowaną produkcję, nie mieliśmy pieniędzy i odpowiedniego sprzętu. Jednak wracam do niej z dużym sentymentem. Znalazło się tam trzynaście naprawdę różnych utworów. Na „El.P” materiał jest już spójny. Nowa płyta będzie jeszcze inna - dużo bardziej piosenkowa.

Od naszej ostatniej rozmowy minęło przynajmniej dwadzieścia lat, kiedy jako dziennikarz „Dziennika Łódzkiego” pisałem o uzdolnionym muzycznie nastolatku. Przez ten czas wiele się zmieniło, ale czy wszystko? Co stało się z tamtymi marzeniami, pasją?

- Robienie muzyki, bycie na scenie, granie niezmiennie sprawiają mi przyjemność. Cieszę się, że gdybym spotkał teraz tego dwunastoletniego chłopca, mógłbym mu powiedzieć, że dwadzieścia lat później robię to samo i czerpię z tego taką samą frajdę. Mam w sobie cierpliwość i jestem długodystansowcem, dlatego nie dręczą mnie rozczarowania ani frustracje. Na tym rynku jest różnie, ale muzyka stała się moim zawodem, mam wspaniały zespół, jest między nami fajna energia. I cały czas przychodzą nam do głowy kolejne pomysły. Pracujemy nad płytą, a już rodzi się zarys następnej.

Dla mnie w tej sytuacji sprzed dwudziestu lat absolutnie wyjątkowe było wsparcie, jakie dostawał pan od mamy. To ona przyprowadziła pana do redakcji, jeździła z panem na koncerty w Polsce. Czekala, żeby po występach mógł się pan spotkać z artystami, którzy pana wtedy fascynowali...

- Rodzice zawsze wspierali mnie i moje dwie siostry. Tata pracował, więc mogła ze mną jeździć tylko mama. Niesamowite było to, że nigdy nie narzucali nam własnej wizji naszego życia. Przypatrywali się temu, co nas interesowało i pomagali w realizowaniu pasji. Zawsze będę im za to wdzięczny.

Jest was trójka - Kasia, Łukasz i Iza, wszyscy utalentowani muzycznie, a rodzice przecież nie są muzykami...

- Ojciec grał na gitarze... Zaczęło się od tego, że starsza siostra w wieku sześciu lat poszła do szkoły muzycznej - w przedszkolu robiono przesłuchania, żeby wytypować uzdolnione dzieci. Wtedy w domu pojawiło się pianino i było dla mnie oczywiste, że ja też pójdę tą drogą. Wydaje mi się, że muzyka była we mnie od zawsze.

Wasze ścieżki biegły jednak osobno.

- Kasia i ja zaczynaliśmy w zespole Puzzle, który wygrał festiwal w Jarocinie. Potem ona jako basistka poszła do Formacji Nieżywych Schabuff, a ja do LO 27. Teraz jest matką trójki dzieci, więc jej przygoda z muzyką na razie pozostaje w zawieszeniu. Najmłodsza Iza robi solową karierę, ale przecież gra z muzykami z L.Stadt, więc wszystko pozostaje w rodzinie.

Kto muzycznie wywarł na pana największy wpływ?

- Beatlesi pozostają dla mnie niedoścignionym wzorem. Najbardziej fascynująca była u nich otwartość umysłu i ciągle poszukiwania, to, że nie chcieli się powtarzać. Sam staram się tego trzymać. Jeśli chodzi o teksty, zawsze podziwiałem Boba Dylana, Lou Reeda. Artyści, którzy nigdy nie stali w miejscu, są dla mnie najważniejsi.

I to Dylan pana namaścił jako muzyka...

- Gdy dziś o tym myślę, nie jestem już pewien, czy to rzeczywiście się wydarzyło, czy tylko mi się przyśniło. Dokładnie dwadzieścia lat temu udało mi się zagrać dla Boba Dylana w jego garderobie podczas krakowskiego koncertu. Gdy skończyłem, powiedział: „Good job”. Wziąłem to sobie do serca i tak w tym trwam.

Muzyka jest pańskim sposobem na życie, ale czy da się z niej żyć?

- Utrzymuję się wyłącznie z muzyki, choć nie tylko z L.Stadt. Komponuję do rozmaitych projektów filmowych. Nie prowadzę wystawnego życia, na moje potrzeby wystarcza. I widzę, że sytuacja powoli się poprawia. Wierzę, że jeszcze dużo grania przede mną, więc będzie lepiej.

Na czym polski muzyk dzisiaj zarabia?

- Nie ma reguły. Czasami są to tantiemy, czasami lepiej płatne koncerty. Innym razem uda się sprzedać muzykę do reklamy. W zeszłym roku piosenka L.Stadt trafiła do spotu dużego koncernu. Najgorsze jest to, że te zarobki nie są stałe.

Może łatwiej byłoby w Stanach?

- Tam jest o wiele trudniej - rynek ogromny, a konkurencja szalona. Zespołowi, który zaczyna, strasznie trudno się przebić. W Polsce najbardziej opiniotwórcza rozgłośnia radiowa, czyli Trójka,

jest cały czas otwarta na młode zespoły. Są audycje, do których można wysłać swoją płytę. Można przyjść do radia i wcisnąć redaktorowi do ręki. Jeśli mu się spodoba, zespół ma szansę zaistnieć. W Ameryce tak się nie da. Ale jednocześnie panuje tam powszechna wiara, że jeśli będę ciężko pracował, to mi się uda. Nasz amerykański przyjaciel tak mi to wytłumaczył: najważniejsze, czy się próbuje, a nie ile razy się nie udało. Rozliczają nas z tego, czy rzeczywiście robiliśmy wszystko, co w naszej mocy. W Polsce niektórym ludziom sprawiają przyjemność porażki innych.

Gdy myśli pan o najbliższej przyszłości za rok, za pięć lat, co daje panu nadzieję, co stanowi ostoję?

- Wiara w moją kreatywność. Jest jeszcze mnóstwo rzeczy, których chcę spróbować, pomysłów, których jako zespół nie zrealizowaliśmy. Są takimi kotwicami, które rzucamy w przyszłość i do nich dopływamy. Potem rzucamy następne i następne.

A obawy, lęki?...

- Każdy ma swoje demony, ale nie chcę o nich mówić. Wolę koncentrować się na tym, co pozytywne.